GŁOS

TYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Rok VI — Nr. 23/24 | Poznań, dnia 19 lipca 1936 | Cena 20 gr

Ludwik Jaxa-Bykowski, Poznań

Tragedja szkolnictwa polskiego w dobie obecnej

> „Szczęśliwy, kto mógł w ciągu swego życia zdobyć się na jakieś dobre ustanowienie, ale nierównie szczęśliwszy ten, komu okoliczności pozwoliły poprawić swoje własne błędy, które dostrzeże zapomocą długiego doświadczenia.“ H. Kołłątaj.

Gdy z początkiem 1932 roku forsowano w przyspieszonem tempie ustawę o nowym ustroju szkolnictwa, zwolennicy jej z ówczesnym ministrem W. R. i O. P. Januszem Jędrzejewiczem na czele uważali, że „chwila, w której Izby ustawodawcze uchwalą tę ustawę, będzie chwilą historyczną i pchnie naprzód ustrój szkolnictwa i całą naszą kulturę narodową“. Tak mówił p. Minister 26 lutego 1932 r. (wedł. „Gazety Polskiej“), a wtórowali mu jego satelici. Referent, poseł Smulikowski twierdził 6 lutego, że „ustawa zbudowana pod kątem możliwości rozwoju szkolnictwa, oczywiście w odpowiednich warunkach finansowych“, a wiceminister Pieracki na posiedzeniu komisji budżetowej Sejmu 21 stycznia 1932 r. zapewniał, że „katastrofa szkolna wobec przedsięwziętych środków zaradczych grozić nam nie może, a katastrofę wytwarza się tylko przez atmosferę i szerzenie fałszywych wiadomości“. Wszelkie podnoszone czyto przez posłów na posiedzeniach władz ustawodawczych i komisyj, czy w druku krytyczne uwagi, zastrzeżenia, ostrzeżenia, wątpliwości rozbijały się o niebywałą pewność siebie inicjatorów i ślepą uległość adherentów, stanowiących decydującą większość. Memorjał Senatu akademickiego prastarej Wszechnicy Jagiellońskiej potraktowano jakby jakiś karygodny wybryk, zlekceważono i zbyto pismo Episkopatu polskiego. Krytyce i opozycji zarzucano defetyzm, obskurantyzm, wstecznictwo, zacietrzewienie partyjne, ignorancję, dyletantyzm. Minister p. J. Jędrzejewicz na posiedzeniu komisji oświatowej Sejmu w dn. 29 stycznia ocenił surowo przeciwników, mówiąc, że „cała dyskusja zarówno na konferencji, jak też i w społeczeństwie o projekcie nosi charakterystyczną cechę dyletantyzmu“ („Gaz. Polska“, Nr. 31 z 31 t. m.). Na zarzuty opozycji, że „program wychowania państwowego nie zawiera skonkretyzowanej idei“, że nowa ustawa jest zbyt ramowa i ma zbyt mało treści, odpowiadano, że to właśnie jest jej zaletą, która „umożliwia dostosowanie jej do szybko zmieniających się warunków życia drogą rozporządzeń“. W końcowym swym wywodzie na plenum p. Janusz J. replikował opozycji: „Ustawa wypełniona jest z pewnością treścią żywą. Gdyby tej treści nie było, nie protestowalibyście. Boicie się tej ustawy i stąd wypływa wasza opozycja...“

Nawet propozycje ograniczenia działania, doświadczalnego wypróbowania w mniejszym zakresie i nie generalizowania na całe państwo nowinek ryzykownych uznano za taktyczną grę na zwłokę, za szkodliwe przewlekanie realizacji doskonałych i głęboko przemyślanych projektów. „Eksperymentuje sprawę cały świat kulturalny — mówił p. Jędrzejewicz na tem samem posiedzeniu — wszystkie eksperymenty idą w kierunku skrócenia szkoły średniej z powiększeniem podbudowy“. Widocznie on jednak nie potrzebował eksperymentu, ufał wrodzonym talentom. Przeciwnicy twierdzili, że nowa ustawa utrudni dzieciom wiejskim dostęp do szkoły średniej, „oddali szkołę wiejską od średniej“. Zwolennik reformy p. poseł Pochmarski wyraził się dość powściągliwie: „nam się wydaje inaczej“, natomiast referent Smulikowski zaryzykował twierdzenie, (24 lutego na plenum Sejmu), że nowa ustawa „udostępnia naukę młodzieży wiejskiej. Według tej ustawy kontyngent młodzieży wiejskiej do szkół wyżej zorganizowanych podwoi się“... P. Jędrzejewicz mówił ostrożniej, nie stawiał horoskopów cyfrowych, ograniczył się do ogólnego stwierdzenia, że „zarzut niedemokratyczności ze strony przedstawiciela ludności wiejskiej jest nie słuszny, bo sytuacja młodzieży wiejskiej była zawsze trudna, a ustawa jej nie tylko nie pogarsza, ale polepsza“. („Gaz. Pol. Nr. 38).

Nie robiono z żadnej strony zarzutów przeciw projektom organizacyjnym i rozbudowie szkolnictwa zawodowego. Podnosili to mówcy większości. Temi projektami chlubił się p. minister, uważał organizację szkolnictwa zawodowego za „główną i zasadniczą wartość projektu“. Z innych walorów „podkreślił demokratyczny charakter jej (ustawy szkolnej), wytwarzanie elity umysłowej, związanie z życiem przez rozbudowanie szkoły zawodowej, wreszcie ramowość, która umożliwia dostosowanie jej do szybko zmieniających się warunków życia drogą rozporządzeń“. („Gaz. Pol.“ Nr. 31).



Kol. Adam Doboszyński

Jeszcze przed wniesieniem projektu do Sejmu „Gazeta Polska“ torowała jej drogę teoretycznemi artykułami. Pisano wtedy: „Dotychczas trwa u nas stan hypertrofji szkolnictwa średniego ogólnokształcącego przy jednoczesnem pokrzywdzeniu szkolnictwa zawodowego — wbrew decydującym w świecie powojennym tendencjom rozwojowym skupienia maksimum wysiłków państw i społeczeństw na rozbudowę życia gospodarczego... Stwierdzamy powszechnie, że stosunkowo niewielki procent młodzieży posiada zdolności teoretyczno - naukowe, znaczna natomiast część jest wyposażona w zdolności praktyczne (techniczne). Ta część uważana często teraz w gimnazjum za „niezdolną“ skierowana do szkół zawodowych dostarczy doskonałych fachowców w zawodach, których brak tak często się odczuwa. Poglądy niejednokrotnie głoszone też przez Obóz Narodowy, które i teraz jeszcze trzeba ponowić.

Czwarty rok jeszcze nie minął od czasu uchwalenia tej ustawy, a już okazało się, że obawy podnoszone przez krytyków nie były płonne. Pełnych skutków reformy jeszcze nie widzimy, jeszcze nawet nowe czteroletnie gimnazja nie wydały nawet pierwszych wychowanków, a przecież widać już skutki wcale nie odpowiadające entuzjastycznym zapowiedziom inicjatorów. Pan wiceminister Pieracki twierdził, że katastrofa w odniesieniu do szkoły powszechnej „wobec przedsięwziętych środków zaradczych grozić nie może“. Dziś wiemy, że się mylił czy łudził, zastosowane środki odwlokły kryzys tak, że zastał on już innych ludzi na fotelach ministerjalnych. Krocie dzieci nie korzystających i nie mogących korzystać ze szkoły świadczą, że użyte wtedy środki miały, jak suponowali posłowie opozycyjni, skutek tylko chwilowy. Godzi się to zresztą z ideologją p. Janusza Jędrzejewicza, który szkołę uważa jedynie za „funkcję życia, nie za „prekursora“. Troszczono się o chwilę bieżącą, choć nazywano siebie „ludźmi jutra“. Dziś już nawet wojsko jest zaniepokojone katastrofalnym procentem analfabetów wśród poborowych, a tego świadectwa chyba partyjnem nie można nazwać.

„Przełamanie gimnazjum ośmioletniego uważano za konieczne ze względów społecznych“ (p. Szyszka), spodziewano się „podwojenia kontyngentu ludności wiejskiej w szkołach wyżej zorganizowanych“ (p. Smulikowski). Tymczasem procent młodzieży włościańskiej w gimnazjach zmalał.

Nowa organizacja miała zapobiec skutecznie „hypertrofji szkolnictwa średniego ogólnokształcącego, pokrzywdzeniu szkolnictwa zawodowego“, wszak sam jej twórca na posiedzeniu komisji budżetowej powiedział, że jej „zadaniem jest przesunięcie punktu ciężkości na wytworzenie inteligencji zawodowej przez skierowanie części młodzieży ze szkół ogólnych do zawodowych liceów“. („Gaz. Pol.“ Nr. 11 z 9. I. 1932), ona miała właśnie wytworzyć prawdziwą „elitę umysłową“. Zasady piękne i słuszne, nikt im ani w Sejmie, ani poza Sejmem nie oponował. O ile jednak zrealizował je nowy system?

Przedewszystkiem w niektórych mniejszych miastach, gdzie dawniej były seminarja nauczycielskie potworzono ogólnokształcące gimnazja nowego typu. Nierzadko też, choćby z uwagi na utrzymanie etatów nauczycielskich, których ilość zmalała wobec redukcji niższych klas, a w przyszłości zmalałaby dalej po wygaśnięciu klas średnich i ósmych dawnego typu, ujawniła się dążność do formowania oddziałów równorzędnych. Okazała się wprawdzie konieczność utrzymania egzaminów wstępnych do gimnazjów, wymagania jednak musiały ulec ograniczeniu, inaczej bowiem procent młodzieży włościańskiej, pochodzącej ze szkół słabiej urządzonych, a nawet niżej zorganizowanych byłby jeszcze mniejszy. Ponadto okazało się, że rozwój umysłowy młodzieży przychodzącej obecnie do gimnazjum, a zwłaszcza przygotowanie naukowe absolwentów szkół powszechnych nawet najwyżej zorganizowanych jest słabszy, niż dawniej po dwu latach nauki w gimnazjum, zwłaszcza dawnem klasycznem z łaciną od początku. Dzisiejsi kandydaci do gimnazjum przypominają raczej dawnych absolwentów klasy IV zgłaszających się do dawnej I gimnazjalnej, niż absolwentów klasy II gimnazjalnej, choć im wiekiem odpowiadają. Przyznaje to, oczywiście dyskretnie wobec znanych nastrojów czynników decydujących, bardzo wielu, niektórzy nawet dawni zwolennicy reformy. Dwie główne przyczyny na to się złożyły. Jedna, to większa ilość dzieci w klasach szkoły powszechnej, niż w gimnazjach, nauka więc masowa, gdy właśnie byłaby pożądana bardziej indywidualizująca. Możnaby jednak twierdzić, że jest to objaw przejściowy, związany z kryzysem ekonomicznym i chwilowem przeludnieniem szkół powszechnych. Druga natomiast przyczyna jest organicznie związana z istotą szkoły powszechnej i niezależna od czynników postronnych. Jest to brak selekcji w szkole powszechnej, która dokonywała się u wstępu do gimnazjum i czasie dwu pierwszych lat nauki, które teraz odpadły. Selekcja ta w szkole powszechnej jest niemożliwa, albowiem, gdyby szkoła powszechna zechciała ją stosować, wyższe jej klasy ograniczyłyby się tylko do wybranych, którzy występują w nielicznym odsetku, a więc stałaby się tylko podbudową gimnazjum nie troszcząc się o tę przygniatającą większość, która byłaby ograniczona do czterech lat nauki. Jeżeli zaś chce być rzeczywistą szkołą powszechną i objąć szeroki ogół młodzieży, w takim razie i program i zakres wymagań i metoda pracy musi być dostosowany do tego ogółu, wybitni zaś w tym zespole oczywiście muszą tracić i nie postępują tak, jak mogliby w korzystniejszych warunkach, w odpowiednim składzie i wyżej postawionych programach, jak to było w dawnych gimnazjach. Twierdzenie, jakoby w tym wieku djagnoza uzdolnień była niemożliwa, jest oczywiście błędne, tak badania eksperymentalne choćby pospolicie używaną skalą Bineta, jak i obserwacje szkolne mówią co innego.

Spodziewano się osiągnąć przez to przedłużenie szkoły powszechnej, wzmocnić demokratyzację społeczeństwa. Pomijamy już dysharmonję tego z postulatem elitaryzmu, tak wyraźnego w obecnym kierunku rządów i podkreślonego też jasno przez twórcę ustawy, lecz i ten demokratyzm kuleje i wyradza się w praktyce w plutokratyzm, gdyż sfery zamożniejsze bądźto korzystają ze szkół prywatnych, bądź też na własną rękę uprawiają „dokształcenie“, zwłaszcza w dziedzinie języków obcych, na co sobie sfery uboższe pozwolić nie mogą. (Dok.na str.4).

Adam Marcinkowski, Lublin

Za Niemen, hen po Dźwinę...

MOTTO: A czy wiesz ty, co tam stoi
po tej ziemi popisano?
co miłości twe ukoi?
co w puściźnie tobie dano?
W. Pol, Pieśń o Ziemi Naszej.

Do wierszy i myśli poniżej nie bierz miary — przyłóż krztynę serca, a jeżeli ci zabije mocniej — tom w sedno trafił. Pragnąłem, by nie przeszły bez echa, jak miedź brzmiąca...

PUSZCZA.

Stach tkwił w puszczy odludnej. Dumał nad potokami, nabrzmiałemi wiosną, które biegły pieniąc się wąwozami ku Zejmianie[1]). Witał pęki nowe na drzewach. Chadzał nad senne jeziora, i patrzał... Czasem wspinał się na wzgórza nienazwane, skąd widoki roztaczały się na lasy bez granic. Czuł się dobrze.

W jednem miejscu przez lasy biegł gościniec żelazny, a przy nim małych domków parę — stacyjka. Tak samo muszą wyglądać przystanki kolejowe na zapadłych szlakach Syberji, czy Kanady.

Czasem nocami, jak zwierz, z za drzew patrzał na pociąg biegnący gdzieś z innego i do innego świata. Zżymał się w łuchu na jazgot brutalny, który wdzierał się tysiącem zgrzytów w majestat jego puszczy...

DRUJA.

Za łęgami żórawi, nad rozlewiskami jezior Bracławszczyzny, zagubiona — za światem, leży na urwistym brzegu Dźwiny Druja — gród sapieżyński. Możni jej opiekunowie, pod kamieniami śpią w kościele Świętomichalskim w Wilnie[2]). Osierocona — bielą murów kościoła (1646 r.), ruinami dominikańskiemi (1706 r.), wieżą Św. Antoniego, cerkwią nad rzeką i przedniejszą synagogą w Litwie całej — dumna.

Patrzy ze swych ogrodów na zameczne dziedziny, Inflantami zwane, dziś do Łotwy należące. Jednak nie zapomniana. Nordkap nasz — Druja podejmie trud współpracy z Gdynią daleką. Wielki port tu rzeczny stanie, a i kolej nową aż do Woropajewa przeciągnięto, by z siecią kraju się połączyć — płuco drugie Rzeczypospolitej sposobiąc.

ZIELONE - JEZIORA.

Komtury zakute w żelazo i knechty najechali na Litwę konno i zbrojnie, zagony czyniąc pod Wilno. A gdzie stanęła ich stopa twarda — tam tryskała krew, tam wstawały łuny pożarów... Złowrogie to mnichy. Nie było litości w ich mieczach, choć mawiali, że idą w imię Krzyża. Kraj stał bezbronny. Skryci po ostępach wajdeloci przyzywali bogów. Ci wysłuchali ich mowy rozpacznej i łzawej. Ongi, dnia mroźnego, jechali Krzyżowi przez pagóry, wąwozy i lasy litewskie. A konie strzygły uszami, wietrząc zemstę ziemi. Kruków i wron stado polatywało nad nimi stając parę, tak jak innym razem nad zacną kompanją chorążego orszańskiego.

Zbójnicy — rycerze lekceważyli znaki. Pogwarka szła miedzy nimi butna i wesoła. Właśnie jeden z przedniejszych skazkę prawił o turniejach w Burgundji. Wjechali na lód jeziora. Zdawał się być mocnym. Czoło dosięgało już drugiego brzegu, a z tego już zapóźnieni i luzacy zeszli byli na powierzchnię. Nagle grzmot przebiegł przez utajone jezioro. Lód rozwarł się. Zniknęli w czeluściach wodnej przepaści. Nie stało ni jeźdźców, ni koni. Odtąd spoczywają na dnie — cisi. Śniedź zielona obrosła ich zbroice, a i wody dotąd mienią się w słońcu dziwnym szmaragdem.

Opowieść tylko została o Krzyżackich, czyli Zielonych Jeziorach[3]) które broniły Litwy.

NIEMIEŻ.

Powiedziawszy „Tatary": krzywe szablice, jassyr i okrzyk „Ałła" przed zmysły ci staną. Nie takich spotkarz w Niemieżu[4]). Duma tylko w nich została rycerska, choć na każde zawołanie królewskie stawali pod znaki, należąc ongi do chorążostwa najmańskiego wileńskiego Ściahu. Chlubią się jeszcze dziś ze sewego meczetu, zacniejszego niż w Wilnie, choć tam mufti siedzi[5]).

MYŚLIWY.

Zapadli nad którymś z jezior pięknego łańcucha Antowil — Bałzis — Jodls — Topeli[6]). Myśliwy gwarzył o swych podchodach i przeprawach. Oczy mu świeciły do wspomnień, coraz bardziej mgłą się zasnuwających. Wigoru w nim było dużo, choć siwizna przyprószyła czoło. Trafił na swego i kęs mu umiłowań własnych rzucał, jak polanami do leżącego przed nimi ogniska. Przed paru laty — mówił — w styczniowy wczesny poranek, zabłąkawszy się w te strony, siadłem na pniu i patrzyłem na jeziorne lodowisko, szkliste, bo wiatrem umiecone. Nagle z lasu poczęły biec na mnie szczekania wilcze. Pragnienie żywej krwi i mordu, a nadewszystko głodu skowyt w nich wibrowało. Głosy zbliżały się szybko. Na wycia licząc nie mogło być więcej bestyj niż cztery, może pięć — a znam się na tem. O małe stajanie, w dole na półwysep wrzynający się w jezioro, wybiegła sarna. Słońce rzuciło snop promieni na jej kształtną głowę, pełną niewysłowionego lęku. Sfora wraża była już blisko (mniemać należało), za chwilę — iby dymiące wypadną z leśnej ściany, zanurzą kliska w drgającym ciele ofiary, a potem zawiodą pieśń zwycięstwa zbójniczą. Niedoczekanie.

Sarna skok uczyniła potężny na lodowisko, nie widząc wyjścia. Myślałem: nogi swe strzaska. Gdzieżtam — w skoku przednie złożyła, i jak na płozach śmignęła do przeciwległego przylądka. Jeno po płozach ślad posoki na lodzie został. I poszła..

Wilczary wypadłszy na skraj, nie widząc przed sobą konającego w mękach zwierzęcia — ponuro zawyły. W głosie ich brzmiał trzewi jęk zawiedzionych. Na mnie przyszedł czas.

Złożyłem się z dwururki. Raz; dwa... Echo poszło wielokrotne na lasy i jeziora, huczało długo, ginąc w parowach. Jak piorunem rażony jeden padł na ziemię, kopiąc śnieg biały.

Towarzysze zniknęli. Podbiegłem doń: oczy mu bielmem zachodziły, charczał i rzęził, szczerząc zębiska. Farbował mocno. Dobrze dostał.

Takie jest prawo życia...

MICHALISZKI.

Michaliszki przy ujściu rozlewistej Straczy do Wilji leżą. Marna mieścina. Klejnot jeden posiada — piękny kościół (1653 r.), przypominający żywo Świętego Piotra i Pawła na Antokolu w Wilnie.

A kto ma w herbie takie parantele, temu lisica za gronostaje wystarczy. Bowiem chram antokolski zaklęte wnętrze posiada, gdzie genjusz pełen inwencji, artyzmu i fantazji zadomowił się w tysiącach gipsatur — płaskorzeźb. Jedno jest pewne, że twórcom włoskim natchnienia dać mogła tylko gleba tutejsza, która rodzi gigantów.

[1]) prawy dopływ Wilji.
[2]) Kościół Św. Michała w Wilnie jest mauzoleum rodzenem Sapiehów.
[3]) Jeziora położone w odległości 10 klm. na północ od Wilna.
[4]) miejscowość leżąca 11 klm. na płd.-wsch. od Wilna.
[5]) mufti — głowa muzułmanów na Polskę całą.
[6]) w odległości 16 klm. na półn.-wsch. od Wilna.

Z młodej poezji

Połów

Któż czarodziejskość ze zmierzchu wypłoszy?
kto odbierze moc nienasyconym sercom?
Niech prościej mówią: niebo mi się przelewa
przez okna wiosennej siatki drzew.
(Niech!)

Wyławiam zeń zwycięsko lśniącego szczupaka —
— księżyc, nieuchronną zdobycz poetów.

Nora Odlanicka-P.

Pogrzeb

Dziś złożyłem do trumny młodości nadzieje
By zabić ją gwoździami ludzkiego szyderstwa; —
Teraz pora zakopać krótkie i niesławne dzieje
Tej ofiary pokątnego, skrytego morderstwa.

Staroświecki karawan — strojny barokami,
Kaleki i starcy: każdy — kto stateczny —
Wnet deski utulą czulemi rękami —
Wiadomo: umarły — więc nie niebezpieczny.

A potem się zawlokę na rozstajne drogi,
Tam, gdzie ziemi nie doszła kropla świętej wody;
Każdy bowiem błysk myśli tej — „życiu" ich był wrogi:
Niech więc leży przeklęty płód fantazji młodej.

A wreszcie się na stypę zlecą przyjaciele
I rozpoczną na grobie swój djabelski taniec —
I pójdą przytupując bachicznemi koły,
Aby... trawa nie rosła — nie... powstał zaprzaniec.

Michał Socha.

Kiedyś...

W dali zachód się krwawi i płoną ideje
Jeszcze krwawsze niż słońce w ogniu wykąpane
Płonie Polska purpurą i bielą bieleje
Płoną serca i dusze z martwoty wyrwane...

Płonie Polska szkarłatem krwi ciepłej i świeżej.
Ogień bucha żar prysku, pożar serc się szerzy.
Płonie Polska, hej płonie, huczy z gór lawina
Białych śniegów podniebnych, grom huczy w oddali

Burza idzie potężna warcząca i sina
Polska płonie i zachód czerwono się pali
Płonie zachód i Polska, ogień się rozszerza
Burza idzie, krew tętni i piorun uderza.

Kiedyż Polski nasz Naród w jedno się zespoli
I uderzy jak piorun niestrzymany niczem
W sedno wrażej przemocy nędzy i niedoli
Kiedyż światu zaświecim swem własnem obliczem?...

— — — — — — — — — — — — —

Wtedy gdy nam do walki aż nadto sił starczy
Gdy pięść polska sękata na niebie zawarczy
Gdy duch Polski z niepolskiej więzi się wyzwoli.

S. Statkiewicz.

Przed snem

Przed snem rozkładam usta do uśmiechu.
Zgarniasz do ręki kart wachlarze.
Stoimy w progu otwartych białych ram,
Chłód mroku rzeźbi jasne twarze.
Lampa mi drży talerzem złotym,
Nad kloszem pudrowane ćmy trzepocą.
Zanurzasz palce w ciężkie, ciekłe włosy
I liczysz szpilki — późną nocą.

Bogdan W. Zakrzewski.

Nasz przyjaciel Danew

(Wrażenia z polskiego kulturalnego wyjazdu do Bułgarji.)

Jak wiadomo, amatorski zespół studentów U. J., który objechał ze sztuką L. H. Morstina „Mikołaj Kopernik", kilka stolic europejskich, miał wszędzie duże powodzenie i misję swą, polegającą na szerzeniu polskiej kultury i propagandzie polskiej sztuki, doskonale wypełnił. Miałem szczęście, do tego zespołu należeć i obecnie chcę się podzielić z Czytelnikami garścią uwag w związku z naszym pobytem w Bułgarji — we Warnie i Sofji. Dlatego wybrałem Bułgarję, gdyż w tym to kraju przyjęci zostaliśmy najszczerzej i najserdeczniej. Bułgarzy, którzy są ludźmi szczerymi i otwartymi, zostali w naszej pamięci jako najsympatyczniejsi gospodarze.

Już pierwsza stacja bułgarska za granicą rumuńską, Oborichte — powitała nas kwiatami, zielenią i napisem „Niech się Wam dobrze wiedzie na bułgarskiej ziemi". To zupełnie nieoficjalne przyjęcie, odrazu nastawiło nas jaknajsympatyczniej w stosunku do mieszkańców tego malowniczego kraju.

Na wszystkich prawie stacjach kolejowych, przez które przejeżdżaliśmy, byliśmy przedmiotem bardzo żywego zainteresowania, połączonego z oznakami dużej sympatji.

Przyjęcie we Warnie przeszło nasze najśmielsze oczekiwania pod względem serdeczności.

Studenci Akademji Handlowej wyszli powitać kolegów Polaków, przybywających z kraju, połączonego z Bułgarją postacią wielkiego króla Władysława.

Trzeba było widzieć te twarze promieniejące radością, te usta wznoszące okrzyki na cześć Polski, aby zdać sobie sprawę z tego, że w Bułgarji mamy prawdziwych przyjaciół. To nie była ujmująca uprzejmość Rumunów, to nie była „polityczna" przyjaźń Węgrów (częściej mówiących o traktatach, niż o przyjaźni), to był głęboki i szczery wybuch uczucia słowiańskiego, nie tamowany żadnemi ubocznemi względami.

Przedstawienie Morstinowskiego widowiska we warneńskim teatrze, wypadło doskonale. Zabrakło biletów dla publiczności.

Biorąc udział w wystawieniu polskiej sztuki we Warnie — w miejscu specjalnie drogiem dla Polaków, czuliśmy się — jak pięknie ktoś powiedział — „bojownikami imperjalizmu polskiej kultury".

Pożegnała nas „perła morza Czarnego" pięknym transparentem, wyobrażającym odlatujące ptaki — umieszczonym na frontonie dworca kolejowego.

* * *

Wspomniałem już o niezwykłej malowniczości Bułgarji. Droga kolejowa z Warny do stolicy jest potwierdzeniem tych słów. Po opuszczeniu brzegów dużego jeziora, pociąg poczyna wspinać się w górę — widoki stają się coraz piękniejsze. Dolne stoki gór porośnięte są ciemnozielonemi winnicami, części szczytowe świecą bielą skał, pokrytych miejscami nędzną trawką. W cięższej zieleni jawią się białe wioski z wystrzelającemi lekko wgórę wieżyczkami meczetów. Drogi oddzielone są od winnic niskiemi kamiennemi murkami. Często widzi się ludzi jadących na osłach. Pracowite te zwierzęta są tu w powszechnem użyciu.

Przejazd przez góry bałkańskie należy do najpiękniejszych odcinków drogi kolejowej w Bułgarji. Pociąg przewija się pomiędzy masywami górskiemi, dochodzącemi do 1.500 mtr. wysokości n. p. m. Są to kruche skały, wyglądające na pierwszy rzut oka bardzo efektownie, ale niebezpieczne do wspinaczki. Kolor ich jest przeważnie rudo-żółty. Dołem płynie szumiący Isker, przypominający nasz Poprad, lecz nie tak niebieski jak on, ale żółty od niesionych przez siebie iłów. Zaludnienie prawie żadne. Na maleńkich, przyczepionych do zboczy stacyjkach, grają górale na kobzach, których dźwięki dobrze harmonizują z dzikim nastrojem gór. Pociąg wpada co chwila w tunele, których na małej przestrzeni jest 23, i przesuwa się przez piękne, białe wiadukty.

Sofja pozostanie w naszej pamięci jako jeden z najsympatyczniejszych punktów naszej podróży. Pomijam już jej malowniczość i egzotyzm, położenie u stóp Witoszy (2.00 mtr.), i t. d., ale kładę największy nacisk na serdeczność przyjęcia, jakiegośmy tam doznali. Przez cały czas naszego pobytu w sto-

(Dokończenie na str. 3-ej)

Karol Hubert Rostworowski, Kraków

Przeprowadzka

17

Sztuka w 4 aktach

FELEK (gwałtownie):
Wolałaby pani „gorący"!! (Ocierając twarz j. w. i patrząc za Ciepielową, która pomknęła do sypialni). Podgrzewać to jucha potrafi! (do Ciepiela, który podszedł z flaszką i kieliszkiem). Dawaj pan. (Po nalaniu i oddaniu butelki Ciepielowi, podsuwając kieliszek do ust Franka) Pij Franuś. (Gdy Franek wypił.) Ależ się oblizał. (Po postawieniu kieliszka na stole, do Ciepielowej, która podeszła z mokrym ręcznikiem). Dawaj pani. (Okłada głowę Franka). (Dzwonek).

CIEPIEL I CIEPIELOWA (rzucając się ku prawym drzwiom).
Policja (stają pod drzwiami — przywarci do siebie).

FELEK (zajęty Frankiem)
Niby skąd? Z nieba?

CIEPIEL (prawie bez głosu)
Może pan... panie dobrodzijku... otworzy...

FELEK (zajęty Frankiem)
Jak skończę.

CIEPIELOWA (również bez głosu)
Bo jeśli to przypadkiem... oni...

FELEK (j. w.)
To zabiorą panią trochę później. (Bez pośpiechu idzie ku drzwiom — wreszcie po ich otwarciu) Aha! (usuwając się na bok) Prosimy. (Wskazując Franka). Gotów. (Usuwa się na bok — kładzie obie ręce do kieszeni i przybiera pozę pełną niepokojącego spokoju).
(po chwili wchodzi starszy pan).

STARSZY PAN (staje jak wryty i wodzi zdumionym, przerażonym wzrokiem po obecnych. Franek? Chyba zabity! Ciepielowe? Widocznie w panice! Felek? Najwidoczniej bezczelny i wyzywający. — Więc zwracając się do Felka i drżącym palcem wskazując na Franka).
To... to pan go?...

FELEK
Powiesił się.

STARSZY PAN (chwiejąc się na nogach).
Powie?...

FELEK
Na pasku od spodni. Miał dość.

STARSZY PAN (ponownie zachwiał się na nogach)

CIEPIELOWA (drżąc na całem ciele).
Do pracowni, ojciec...

CIEPIEL
Do pracowni, matka... (oboje jaknajciszej wychodzą w prawo i zamykają za sobą drzwi).

FELEK (w czasie wychodzenia Ciepielów, wskazując na Ciepielową).
Widzi pan, jak na złodzieju czapka gore?

STARSZY PAN
Przecież ja...

FELEK
Pan jest w porządku. Z panem porachunków niema. Każdemu targować wolno. Tylko że pan źle trafił. To wielki biedak, panie. Łeb za pełny, kieszeń za pusta — mocy tyle co u kota — podsunął mu pan gruby pieniądz — zapachniało... (Podchodząc do stołu i podsuwając krzesło). Ale niech pan spocznie. Ledwo się pan na nogach trzyma.

STARSZY PAN (prawie bez głosu).
Dziękuję. (Podchodzi do stołu, drżącemi rękami składa laskę, kapelusz i rękawiczki, poczem siada).

FELEK (siadając naprzeciw starszego pana)
A prędzej było nie do niego, a do mnie. Ubilibymy odrazu. Pan powiedziałby swoje, ja swoje... Kiedy pan wołał... „delikatniej". Spotkali my się wczoraj w południe, no i pan wołał... „delikatniej". — W porządku. — (Po chwili): Bo przecie jakby ze mną była sprawa, to jabym na tym fotelu tak nie siedział. — Gdzie mi tam do takiej parady! — Jabym albo w mordę, albo bym wziął. — On inaczej. — On wyszlifował sobie honorność po waszemu. — Wolał w sześcioro u Ciepielów, niż w mojej stancji we troje, bo to byłaby „pomoc", a pomoc to przecie wstyd. — Trzeba się kłaniać w pas, kręcić zadkiem... Dlatego poszedł... na „interes". (Pochylając się w stronę starszego pana bardzo dobitnie i bardz owolno) Miał mnie — namówić...

STARSZY PAN (robiąc przeczący ruch ręką):
Zawiadomić...

FELEK
Niech panu będzie „zawiadomić". — (Po chwili): Miał — mnie — „zawiadomić", że moglibymy... do spółki... na mijanego...

STARSZY PAN (j. w.)
Pan się myli...

FELEK (z wybuchem nie znoszącym repliki)
Na mijanego!!!

STARSZY PAN (robi gest wyrażający: niema rady).

FELEK (po niesamowitej pauzie wzrokowej)
...i „zawiadomił" mnie dzisiaj w nocy. (Po chwili): Ale ja panu jej nie dam. Żeby mi pan złote góry, (nagle waląc pięścią w stół) psiakr!!!!... (opanowując

Dyskusje i uwagi

„Moratorjum“ dyskusyjne

Tak się złożyło, że w dzisiejsze naszej kolumnie dyskusyjno - polemicznej winny się znaleść trzy odpowiedzi.

Chronologicznie biorąc pierwsza należy się „Buntowi Młodych“, w związku z ostatnim jego artykułem p. t. „Błąd p. Hałaburdy“. Artykuł ten, będący odpowiedzią na nasz p. t. „Błąd Buntu Młodych“, pióra kol. K. Hałaburdy, ze względów zasadniczych nie pozostawimy bez odpowiedzi, którą podamy w najbliższym czasie.

Nawiasem nadmienić należy, że wspomniany „Błąd p. Hałaburdy“ spotkał się niemal z ostrem „ojcowskiem“, nie chcemy powiedzieć potępieniem, lepiej może więc upomnieniem pułkownikowskiej „Gazety Polskiej“.

Drugą odpowiedź winniśmy „Kulturze“, a ściślej rzecz biorąc p. Januszkiewiczowi, trzecią „Dziennikowi Bydgoskiemu“, w którym p. Marjański atakuje treść artykułu „Dokąd iść“ kol. St. Czapiewskiego. Tę trzecią z konieczności musimy odłożyć, ponieważ p. Marjański z reguły ujmuje sprawy „cyklicznie“, przeto zniewoleni jesteśmy zaczekać na całość, która w tej chwili jeszcze się nie ukazała.

Słowem korzystamy z częściowego „moratorjum dyskusyjnego“, spłacając dziś dług jedynie p. Januszkiewiczowi.

Walka nie jest sielanką

(List — w odpowiedzi przeciwnikowi, którego znam).

Szanowny Panie!

Na list Pański odpowiadam oczywiście listem. Zechce Pan wybaczyć, że przez nie podpisanie, zamieszczonej w „Głosie“ mojej notatki p. t. „Powódź frontów“, napisanej na marginesie Pańskiego artykułu „Czerwony i czarny front“, zmuszony Pan był pisać do „nieznanego przeciwnika“.

Pisze Pan, że w mojej notatce nie powiedziałem nic epokowego i że powtórzyłem tylko pewną tezę z przed wielu lat, którą Pan uważa za dawno już przezwyciężoną.

Otóż do „epokowości“ pretensji nie mam. Jeżeli podniosłem tę tezę i moje wątpliwości, to tylko dlatego, że życie czyni je niestety ciągle aktualnemi i narazie nieprzezwyciężonemi, o czem świadczy niejeden artykuł z „Kultury“ i stanowisko niejednego z Waszych współpracowników. Skoro jednak uważa Pan sprawę poruszoną za przezwyciężoną, to muszę Pańskie stanowisko uznać za wybitnie subjektywne i indywidualne, które równie dobrze może i jest zapewne podzielane przez część sfer katolickich, jak i nie jest podzielane. Fakt ten pozwala mi stwierdzić, że problem ten istnieje.

Nie chcąc „niepotrzebnie komplikować“, sobie i Panu (nie życia!) lecz dyskusji pozwolę jednostronnie podać znaczenie pewnych terminów, których w dalszym ciągu będę używać. A więc przez „sfery katolickie“ rozumiem pewną grupę dość luźną, która nie łączy się z żadnym istniejącym obozem politycznym, a jeżeli czasem się to zdarzy, to nigdy z nacjonalizmem, grupa ta istnieje sama dla siebie. Bliskie jej były (a może i są) pomysły stworzenia jakiegoś specjalnie katolickiego obozu politycznego.

„Kulturę“, jako inicjatywę prywatną uważam za pewien refleks tego co określam pojęciem „sfer katolickich“, które są czemś innem niż ogół katolików w Polsce.

Jak sądzę „Kultura“ chce reprezentować samym tytułem określoną dziedzinę, opartą o światopogląd katolicki. „Oficjalnie“ nie reprezentuje nikogo.

Te stwierdzenia wystarczą, żeby z Panem się porozumieć i poróżnić zarazem.

Zaznaczam przytem, że podejmując z Panem wymianę zdań nie mam zamiaru prowadzić t. zw. „dyskusji literackiej“ dla samej dyskusji, lecz chodzi mi o to, żeby ważne sprawy rzeczywiście wyświetlić przynajmniej pomiędzy nami.

W związku z tem pominąć muszę pański trochę scholastyczny i bez znaczenia wywód, że katolikiem jestem z przypadku, albo, o tem, co byłoby „gdyby przypadkiem Mieszko I był równie wrażliwy na wspaniałość ceremonjału, jak ruski książe Włodzimierz Słoneczko“. Że jednak interesuje Pana to „co byłoby gdyby itd.“ to jest to wynikiem nieporozumienia.

Bo ja twierdzę słusznie, że pierwiastek katolicki jest tylko częścią w kulturze narodowej, a Pan uważał za wskazane rozwinąć moją myśl tak oto:

„Katolicyzm... zatem jest o tyle tylko wartościowym, o ile dla tej kultury stanowi jakąś wartość istotną. Sam przez się, niezależnie od kultury narodowej, nie stanowi dla Pana żadnej wartości“.

Zapytuję więc, co Pana upoważniło do takiego twierdzenia o względnej dla mnie wartości katolicyzmu, czy to, że coś jest częścią całości, a w danym wypadku mówimy o całości kultury narodowej, powoduje utratę wartości przez tę część w wypadku jego odłączenia (praktycznie niemożliwego). Taki Pański wniosek nie wiem skąd się wziął tem więcej, że o wartości wogóle mowy nie było, a szczególnie o wartości tej części, która może stanowić jedną z istotnych składników całości.

Ta część więc w oczach Pana traci wartość, w moich nie, i może dlatego zasłużyłem sobie u Pana na miano „raczej bezwyznaniowca“.

Jeżeli na tę częściowość zwróciłem uwagę, to tylko dlatego, żeby wskazać na to, iż chcąc tworzyć katolicki front polskiej kultury (Pański projekt), trzeba uwzględnić bez zastrzeżeń drugi istotny pierwiastek tej kultury, pierwiastek narodowy.

Z tej płaszczyzny kultury dyskusję Pan sprowadził na tory katolicyzmu wogóle, który sądzę, jest dla nas w całości bezsporny. Sporną niewątpliwie jest rzeczą przyjęcie przez „czarny front“ pierwiastka nacjonalistycznego, o które mi właśnie chodzi.

Trzeba tu zdecydować się: albo tworzymy i mobilizujemy przeciwko międzynarodowemu czerwonemu frontowi kultury front kultury narodowej, oparty o siłę światopoglądu katolickiego — chrześcijańskiego, albo tworzymy jakieś bractwo konfesyjne, mające powszechne w Kościele zastosowanie.

„Czarny front“ bez nacjonalizmu dziś, to ucieczka od rzeczywistości narodowej.

Takiej ucieczce, może i wygodnej i pięknie wytłumaczonej względami „wyższemi“ hołduje Pan i „sfery katolickie“, stosując zasadę „splendid isolation“.

Doskonale rozumiem, że Kościół nie może angażować się w polityce, ale nie mogę zrozumieć, dlaczego na froncie pozytywnej walki o kulturę narodową, o jej charakter i styl, „czarny front“ nie może się łączyć na zasadach wyłączności z nikim; — proszę to wreszcie zrozumieć, że nietylko z nacjonalizmem politycznie pojętym, ale wogóle z nikim, z **żadnym** ruchem politycznym. „Czarny front“ musi być samodzielnym, gdyż pierwszoplanowe jego ideały: obrona moralności i wiary przy każdym aljażu zeszłyby na drugi plan.“

Czyż dlatego, że chodzi o „obronę wiary i moralności“ należy się izolować od życia i od wiru walki i tworzyć kapliczki przy drodze, po której spokojnie przewalać się będą wraże siły?! Może zbyt śmiałe postawię twierdzenie, ale szczere twierdzenie, nacjonalisty polskiego i katolika równocześnie, że Pańskie stanowisko jest zaprzeczeniem katolickiej postawy moralnej, postawy wojującego człowieka, członka Kościoła. Obowiązkiem katolika jest być w pierwszym szeregu wszędzie, moralność nietylko bronić, ale ją narzucać i zdobywać dla niej czynnych wyznawców na wszystkich odcinkach frontu społecznego, gospodarczego i politycznego, słowem wyciskać swoje piętno na kulturze i cywilizacji narodowej, które tem bliżej będą Kościoła i Boga. Ponieważ Pan jest innego zdania, reprezentując pogląd izolowanej kontemplacji, przeto nie dziwię się, że z ironją mówi Pan o „łatwiźnie bojowych występów w trosce o Polskę“, mając na uwadze ofensywny charakter narodowego i katolickiego młodego pokolenia, dla którego i światopogląd katolicki i narodowy jest syntezą i harmonją. Walcząc o jedne, walczymy równocześnie o drugie. Walkę bierzemy życiowo i rozumiemy ją zupełnie konkretnie. Ta walka, jaka się toczy w Polsce na wszystkich odcinkach, a więc i kultury, o co nam tu właśnie chodzi, nie jest sielanką, lecz poprostu wojną, w której mają zastosowanie dwa elementy: siła moralna i siła fizyczna. Zwyciężyć w tej walce słusznej, to umiejętnie operować jednym i drugim czynnikiem. Żeby zwyciężyć, potrzeba woli, jasnej decyzji i świadomości, czego się właściwie chce.

* * *

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Sugestjonuje Pan nam tendencje „gleichschaltowania“ wszystkiego, a także katolicyzmu. Owszem, nie ukrywamy tego, że gorącem naszem pragnieniem jest, żeby wszyscy katolicy-Polacy byli równocześnie narodowcami. Że jesteśmy bodajże jedynym wielkim i zwartym obozem politycznym narodowym i katolickim bez zastrzeżeń, to jest prawda i jako obóz polityczny mamy na to monopol, jeśli Pan tak chce to nazywać.

J. Terlecki.

Prasa o inż. Doboszyńskim

Sprawa Myślenic i kol. inż. Doboszyńskiego nie schodzi ze szpalt prasy codziennej i perjodycznej.

Poza informacyjnemi relacjami rozpoczęły się dyskusje.

Z informacyj niewątpliwie ciekawą jest ta, że inż. Doboszyński dał się poznać nietylko jako doskonały fachowiec-inżynier, ale także jako ekonomista i literat. Okazuje się, że autor „Gospodarki Narodowej“ w r. 1934 wydał powieść p. t. „Słowo ciężarne“, przyjętą z bardzo dodatnią oceną krytyków, oraz sztukę teatralną p. t. „Trans“. Warto zanotować również głosy z dyskusyj.

„Warszawski Dziennik Narodowy“, odpowiadając na wywody „Gazety Polskiej“, przyrównywującej czyn kol. Doboszyńskiego do zabójstwa prez. Narutowicza, przypomniał obecnym gorliwym „moralizatorom“, zaginięcie generała Zagórskiego, napady na Nowaczyńskiego, Mostowicza i innych. „Dziennik Narodowy“ słusznie kończy swoje wywody maksymą: „Cura te ipsum“.

Żydowski „Nasz Przegląd“ w recenzji „Gospodarki Narodowej“ przyrównuje to dzieło do „Mein Kampf“ Hitlera, które jest napisane sugestywnie i może być niebezpieczne oczywiście dla Żydów“.

Katolickiej „Kulturze“ wystarczyło naraz takie znamienne stwierdzenie co do czynu Doboszyńskiego: „Chyba, że się przyjmie nagłe zaburzenie funkcyj umysłu lub też...“ I nic dalej, czyli wszystko proste i jasne, tembardziej, że jest upał i wysilać się nietylko nie należy, ale wręcz nie wolno...

Podobną, ale nieco odmienną metodę zastosowała „Polska Zbrojna“ (niestety zbrojna, ale nie w rozsądek), która cytując in extenso „rewelacje“ angielskiej „News Chronicle“, o wydarzeniach myślenickich, wyciąga wręcz fantastyczne wnioski.

Ponieważ „News Chronicle“ „po angielsku“ trochę pofantazjowała, więc dlatego uważała za wskazane pofantazjować również „Polska Zbrojna“, pisząc: „Drugi zaś wniosek — znacznie ważniejszy, musi zostać wyciągnięty w stosunku do kierownika napadu i jego ludzi. W budowie oskarżenia przeciwko nim niemałe miejsce zająć muszą fatalne skutki wywarte zagranicą przez ich przestępstwo, zgubne działanie na opinję o naszym kraju wśród obcych, działanie podrywające nasz autorytet i nasz prestiż państwowy.“

Pytanie, od kiedy są tacy czuli na prestiż, a wreszcie, od kiedy brednie jakiegoś zapewne angielskiego żydka z Nalewek mają wpływać na zaostrzenie oskarżenia. Trochę więcej powagi przydałoby się naprawdę.

Cały sęk w tem, że ci, którym wypadało dziś statecznie moralizować, nie mają do tego zbyt mocnej legitymacji, tembardziej, że z własnych czynów jeszcze rachunku sumienia nie zdali.

Różnica więc jest bardzo poważna. Doboszyński ponosi odpowiedzialność, a moralizatorzy **nie**. Za kim ten fakt przemawia, tego specjalnie wyjaśniać nie potrzeba. Jak się okazuje, „potępiony“ kol. Doboszyński może służyć niejednemu jeszcze **dobrym przykładem**.

(Ciąg dalszy ze str. 2-giej)

licy Bułgarji byliśmy otoczeni ludźmi, którzy nie opuszczali nas ani na krok, aby być zawsze na nasze usługi. Ludzie ci orjentowali się doskonale w naszej literaturze i malarstwie, spora ich część znała Polskę i wyrażała się o polskiej kulturze jaknajentuzjastyczniej. A nas ogarniał wstyd, gdyż nie mogliśmy zrewanżować się podobnemi wiadomościami. Nasza ignorancja w sprawach kultury Bułgarji, była przerażająca. Wiedząc o tem, nie zabieraliśmy w tych sprawach głosu, przyrzekając sobie jednak jaknajszybsze uzupełnienie naszych minimalnych wiadomości. Podczas obiadu, wydanego dla zespołu przez p. ministra oświaty, wygłosił przemówienie w języku polskim (!) p. Danew, który przyjechał specjalnie z Ploudiv, aby się zetknąć z Polakami. Pan Danew był w Polsce lat temu 40 przez dwa lata, i do dziś dnia nie zapomniał naszego języka. Naturalnie że nie była to klasyczna polszczyzna, że było w niej dużo wyrazów bułgarskich, ale tem bardziej brała ona nas za serce, a z oczu ludzi bardziej uczuciowych, zwłaszcza kobiet, wyciskała łzy wzruszenia.

„Polska, to moja druga ojczyzna“. — „Kocham Polskę jak matkę“ — mówił wzruszony mówca. „Polska jest najbardziej wykształconym narodem słowiańskim“...

Zdanie to słyszałem kilkakrotnie od różnych Bułgarów. Ktoś mi powiedział: „Dla Bułgara być w Warszawie, to jest to samo, co dla Polaka być w Paryżu.“

Może było w tem trochę przesady, ale faktem jest, że polska kultura ma bardzo silną moc przyciągania.

Gdy pytałem się maturzystów, co zamierzają robić po ukończeniu gimnazjum, — kilku odpowiedziało, że wybiera się na studja do Polski.

I tak możnaby mnożyć liczne przykłady stwierdzające niezbicie, że tak polska kultura jak i znaczenie polityczne Polski, są oceniane w Bułgarji ze znajomością rzeczy i wielką sympatją.

Na zakończenie jeszcze jedna wiadomość. W Sofji istnieje gimnazjalne Towarzystwo Słowiańskie, które liczy 400 członków i pracuje bardzo intensywnie nad ogólnosłowiańskiem zbliżeniem. A jak jest u nas? —

* *

Stałem już na stopniach odjeżdżającego pociągu, gdy wtem podbiegł do mnie nieznany mi zupełnie Bułgar i prawie przemocą wcisnął mi do ręki drewniany, pięknie rzeźbiony flakonik z podstawką (robota ludowa), wołając:

„To na pamiątkę z Bułgarji!“

Najmilsza ta pamiątka stoi w mym pokoju i przypomina mi moich przyjaciół Bułgarów.

Stanisław Pagaczewski, Kraków.

Corrigenda

Do artykułu kolegi Aleksandra Rogalskiego p. t. „W mrokach duszy“ w ostatnim numerze „Głosu“ zakradło się kilka błędów, wypaczających sens. A mianowicie. W zdaniu „Dziecko jest aniołkiem, jak ktoś ma zwyczaj używać „śmiałych słów“ winno być „**subtelnych słów**“. Zdanie zaczynające nowy ustęp po powyższem, winno brzmieć. „**Jakby tam nie było, w tem rozumowaniu kryła się pewna słuszność**“. Zdania, które zostały zniekształcone: „Definicja człowieka mieści nauka i następne winny brzmieć: **Definicja człowieka mieści się w trzech słowach. Lecz „stulti sunt quoque beati“**. Wreszcie należy poprawić zdanie: ...prawdziwe aniołki nie spełniają czynności niekoniecznie czystych i **pięknych**“.

---

się i sięgając do bocznej kieszeni) Aha. (Podając starszemu panu papierośnicę). Kazał to panu z powrotem.

STARSZY PAN (nie spuszczając oka z Felka, bierze wciąż drżącą ręką papierośnicę i kładzie ją przed sobą (na stole).

FELEK (wskazując papierośnicę).
Leżało na stole... Wziął... Nosił w tajemnicy przez cały dzień... Dopiero po wszystkiemu... (z wybuchem). Rozumie pan?!!

STARSZY PAN (drgnął)

FELEK (znów spokojnie)
Bo to jest tak. — Pan chciał go po pas, a on po same uszy! Na złość! (po chwili) Że to niby ryj tylko skończonym świniom nie wadzi. (Po chwili). I wie pan co? — Gdyby się za panem nie wstawił... ho ho !... jużby nie było co zbierać. (Przez zaciśnięte gardło) zabiłbym pana jak psa!!

STARSZY PAN (j. w.)
Ale cóż?... Kiedy się wstawił. Przyrzekłem „elegancko“ — będzie elegancko. — (Po chwili). Pójdzie pan sobie do domu... grzecznie... ładnie... wyciągnie się pan na kanapce... zapali pan sobie papierosa... i rozważy pan sobie w sumieniu...

STARSZY PAN (wyjmuje zegarek i kładzie obok papierośnicy).

FELEK (po chwili, ciągnąc dalej)
Boście się na biedaka uwzięli. Tu handel i tam handel. — tu spokój, za... wiadomo co — tam spokój za... także wiadomo co... A jak nie? to zdychaj, bracie, pod płotem! — To też i wołał odrazu — na waszych oczach — (zrywając się gwałtownie) żebyście „wy“ spokoju nigdy nie zaznali!!! (siadając i opanowując się) Dziekować Bogu — dycha.

STARSZY PAN (który w czasie słów Felka wyjął z kieszeni portfel i położył koło zegarkt, podsuwając Felkowi i portfel i zegarek i papierośnicę)
Na początek.

FELEK (ponownie zrywając się i podnosząc pięść).
Znów pan zaczyna?!!

STARSZY PAN (wskazując Franka)
Dla niego, panie.

FELEK (siadając)
Jak?

STARSZY PAN
Dla niego. (Wskazując portfel). Mój adres wewnątrz. Jeżeli będzie potrzeba... dodam.

FELEK
I niby co.

STARSZY PAN
To, co uznacie za stosowne.

FELEK
Zaraz. Mnie się widzi, że... nie kijem, to pałką.

STARSZY PAN
Nie, panie.

FELEK
Zaraz. — A co pan ma w tem za widoki?

STARSZY PAN
Ja?

FELEK
Przecie że pan.

STARSZY PAN
Jakto.

FELEK
Myśli pan, że mię pan pomalusku „zlasuje“.

STARSZY PAN
Nie rozumiem.

FELEK
No niby, że mnie pan po kropelce ugasi. Jak wapno.

STARSZY PAN
Nie, panie. Proszę mi wierzyć...

FELEK
Ktoby ta komu wierzył!

STARSZY PAN (drżącym głosem)
Ale proszę mi wyjątkowo uwierzyć, nie żądam od pana niczego, oprócz...

FELEK
No?

STARSZY PAN (wyciągając rękę)
...pańskiej ręki.

FELEK
Na ślepo niema głupich.

STARSZY PAN
Chcę ją poprostu uścisnąć.

FELEK
Nie będzie mi pan zawracał!...

STARSZY PAN
Naprawdę.

FELEK
A na dokładkę... nic?

STASZY PAN
Nic.

FELEK
Panie?... bo my tu mamy świadka.

STARSZY PAN
Przy świadku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

(Dokończenie ze str. 1).

Ten pierworodny grzech nowego ustroju przesuwający selekcję na później o dwa lata pociąga za sobą dalsze. Program nowego gimnazjum jest szczuplejszy, niż dawnych sześciu klas gimnazjalnych, poziom podręczników w wielu przedmiotach nie wychodzi zbytnio poza dawne niższe gimnazjum. W praktyce, wobec gorszego materjału uczniów mimo nacisku władz i wyjątkowo intensywnej pracy nauczycielstwa, może się jeszcze zacieśni. Tu znów zaciąży na liceum, które poprostu fizycznie nie wydoła zadaniu, nie mogąc w ciągu lat dwu nadrobić braków i dorównać dawnemu poziomowi a tem bardziej go przewyższyć, jak zapewniali zwolennicy nowego systemu. Pokaże to niedługa przyszłość, nawet gdyby utrzymano egzaminy dojrzałości, które również w swoim czasie uznano za przeżytek. Nie chcę jednak o tem mówić, bo ograniczam się do teraźniejszej rzeczywistości.

A tu nowe niepokojące objawy. Wszakże w swoim czasie wszyscy z uznaniem podnosili zapowiedź poważnej rozbudowy szkolnictwa zawodowego, a licea zawodowe, miały przecie zabrać poważną część młodzieży ze szkół ogólnokształcących, jak mówił p. minister Janusz Jędrzejewicz, i wytworzyć liczne zastępy inteligencji zawodowej. Zamiary te pochwalali wszyscy, stwierdził to p. poseł Pochmarski, jedynie p. Sommerstein (3 lutego 1932) podniósł zastrzeżenia i twierdząc, że Polska niema nadmiaru inteligencji i nie potrzebuje się jej obawiać, protestował przeciw temu, by liceów miało być mniej, niż gimnazjów, wtedy bowiem młodzież będzie miała utrudniony dostęp do uniwersytetów. (Przegl. Ped. Nr. 5 r. 1932).

I teraz, rzecz ciekawa, kiedy stoimy przed organizacją liceów, to odosobnione stanowisko p. posła Sommersteina znajduje oddźwięk i poparcie. Oto jeden z współtwórców ustawy p. poseł Bolesław Pochmarski umieścił artykuł w N-rze 10 Przeglądu Pedagogicznego b. r., który musi poważnie zaniepokoić patrjotyczne sfery społeczeństwa. Staje on w zupełności na stanowisku posła Sommersteina i w miejsce szkół zawodowych uważa, że „w każdym zakładzie...., w którym obecnie jest gimnazjum powinno powstać liceum“. Przyznaje, że dawniej mówiono inaczej. „Przewidywało się — pisze — że tylko część tej (gimnazjalnej) młodzieży na drodze naturalnej selekcji przejdzie do liceum, reszta, w części przejdzie do liceów zawodowych, a w części do życia praktycznego, zawododowego. Dwie ostatnie możliwości dzisiaj muszą niemal zupełnie odpaść. Nie znajdą absolwenci gimnazjalni zajęcia, skoro tylu mamy dziś bezrobotnych maturzystów i absolwentów szkół wyższych. Co się zaś tyczy studjów zawodowych, pisze dosłownie: „Gdzież są te licea zawodowe, by objąć choć jedną trzecią tej młodzieży, która ukończy w roku przyszłym 4-tą klasę gimnazjum? — Dotąd kreowane 2 licea rolnicze, jedno polskie, jedno ukraińskie, chyba nie wystarczą“.

Jakto? Więc na tem miałoby się skończyć? Pomijam już zdumiewającą proporcję liceów polskich i ukraińskich, ale czyżby na tem miało się skończyć, choćby ograniczyć do małego dodatku? Przecież liceów ogólnokształcących też jeszcze niema, dopiero opracowuje się plany, dlaczegoż więc p. poseł Pochmarski, chyba blisko stojący „wielkiego ołtarza“ sugeruje konieczność liceów przy wszystkich gimnazjach, liceów jak wynika z jego wywodów ogólnokształcących? Przecież w ten sposób przekreśla się właśnie to, co miało być zaletą tej radykalnej a kosztownej reformy. Odpadnie wtedy właściwy dobór, odpadnie formowanie „elity“. Nietylko nie będziemy tworzyć tej tak pożądanej inteligencji zawodowej, jak to zapowiadał p. minister Janusz Jędrzejewicz, ale co więcej odpadnie formowanie „elity“, dobór zredukuje się i stan cały jeszcze się pogorszy w porównaniu do stosunków obecnych, skoro potworzono nowe gimnazja w miejsce seminarjów, a w dawniejszych nierzadko zorganizowano równorzędne oddziały.

Zróżnicowanie liceów ogólnokształcących w takim razie zostanie w praktyce fikcją, bo przecie nie będzie można z uwagi na małą frekwencję tworzyć po prowincji liceów o różnych wydziałach, powtórzy się stan obecny, kiedy niemal powszechnie dominuje typ humanistyczny, połowiczny i słaby, przez inicjatorów skazany na zagładę, a który przeciwnie rugował inne. A więc możność wyboru typu dostosowanego do uzdolnień i upodobań ogranicza się jedynie do dużych miast, z pokrzywdzeniem znów ludności włościańskiej skupiającej się po mniejszych miastach.

P. Pochmarski kłopocze się brakiem miejsc i posad dla absolwentów nowych gimnazjów; słusznie! Ale czy wepchnięcie ich do liceów poprawi ich los? Nie, przesunie tylko kryzys o dwa lata! Narazi ich na dalszy bezowocny i niepotrzebny trud i koszt dwuletnich studjów w nieodpowiednim kierunku, by po ukończeniu liceów stanęli wobec takiej samej sytuacji. Zapewne wtedy zażąda się otwarcia dla tych rzesz dostępu do szkół wyższych, by znów odroczyć kłopot na dalszych parę lat. I znowu utrudnienie pracy w uniwersytecie, narażenie na dalszy trud i wydatki, a tem samem tem większe rozgoryczenie wykolejeńców. Jest to dalszy ciąg systemu jędrzejowiczowskiego uwzględnienia w szkolnictwie tylko teraźniejszości, swoiście pojęta, aktualizacja: żeby przepchnąć dziś, a o jutro będzie się troszczył kto inny...

Wobec tak jaskrawego i błyskawicznie ujawnionego bankructwa całego systemu mogliby się cieszyć sceptycy i krytycy, piętnowani parę lat temu jako „antypaństwowcy“, gdyby to nie było tragedją szkoły polskiej i całego państwa. Wszakże rzeczywistość zaczyna dystansować najczarniejsze ostrzeżenia. Zarzucano nam defetyzm, a defetyzm bije raczej z wywodów posla Pochmarskiego. Dlaczegoż teraz popada w drugą ostateczność? Dlaczego nie ma się właśnie dążyć do zbudowania tego, co było wartościowe w projektach p. J. Jędrzejewicza, co zresztą zapowiadał i obecny Minister W. R. i O. P? Przecie programy liceów zawodowych można opracowywać równolegle do prac nad liceami ogólnokształcącemi. Stworzenie paru komisyj nie sprawiłoby Ministerstwu trudności. Braku frekwencji nie należy się obawiać, wszak potworzone gimnazja zawodowe są wszędzie wcale popularne. Nie sądzę też, by trudności finasowe były nie do pokonania. Zapewne niektóre typy, n. p. przemysłowe są kosztowniejsze niż ogólnokształcące, ale przecie mamy już pewną ilość szkół tego rodzaju, należałoby je tylko we właściwy sposób zreorganizować. Natomiast nie sądzę, by organizacja liceów handlowych była tak kosztowna. Te zaś obecnie wydają mi się bardzo potrzebne wobec żywiołowego i zdrowego pędu włościaństwa do tego zawodu. Takie szkoły należy w najbliższym czasie zorganizować w większej bliższym czasie zorganizować w większej ilości, oczywiście licząc się z potrzebami i życzeniami społeczeństwa. Znawcy życia ekonomicznego powinni współdziałać tak przy układaniu programów, by jak najbardziej były dostosowane do potrzeb życia praktycznego, jak też w wyznaczeniu właściwej sieci szkół zawodowych wszelkiego rodzaju. Podnoszą niektórzy trudność ułożenia planu w liceach zawodowych tak, by mogli z nich korzystać nie tylko absolwenci gimnazjów ogólnokształcących, lecz i zawodowych, by te ostatnie nie były „ślepemi ulicami“. Trzeba jednak baczyć, by nie wpaść w drugą ostateczność, by nie zrobić z gimnazjum ogólnokształcącego, a potem z liceum „ślepej ulicy“, która prowadzi jedynie do szkół akademickich, a tych, którzy dla braku uzdolnień teoretycznych odpadną, lub dla braku miejsca nie zmieszczą się, robi rozbitków życiowych, zawiedzionych w swych ambicjach, rozgoryczonych wywrotowców. Wszakże absolwenci gimnazjów zawodowych powinni zdobyć wystarczające przygotowanie do praktycznego życia, studja dalsze w liceach, a dalej w akademjach, będą więc czemś wyjątkowem; ogół zaś przejdzie bezpośrednio do warstwy produktywnej, by zacząć pracę zawodową. Licea zawodowe powinny więc opierać się przedewszystkiem na gimnazjach ogólnokształcących, z nich czerpać materjał uczniów, do ich potrzeb dostosować swe programy. Wybitni absolwenci gimnazjów zawodowych mogliby być przyjmowani od razu na kurs wyższy, jako mający już wstępne wiadomości, kończyliby więc swe studja w krótszym czasie.

W związku właściwą i poważną rozbudową szkolnictwa zawodowego podnieść trzeba jeszcze jedną rzecz. Poszczególne licea zawodowe nie mogą być zbyt liczne wobec swego zróżnicowania, winny więc gromadzić młodzież nietylko z najbliższej okolicy, lecz z rozleglejszego terytorjum. Wobec tego nietylko muszą być położone centralnie z łatwym dojazdem, ale i na miejscu niezbędne są urządzenia, ułatwiające pobyt przyjezdnym, a więc bursy, internaty, dobre i tanie stancje, dające nie tylko wystarczające utrzymanie, ale zapewniające też właściwą opiekę. Zdaje mi się, że tu jest właściwe pole pracy dla samorządów i instytucyj społecznych, które powinny zamiast silenia się na utrzymanie gimnazjów nierzadko o niskim poziomie, fundować stypendja lub miejsca w internatach.

Gdyby się natomiast stały rzeczywistością projekty p. posła Pochmarskiego, zacierałby ręce jedynie p. Sommerstein i jego współrodacy, bo wprawdzie dezyderat jego złączenia ustawowego wszystkich gimnazjów z liceami ongiś w Sejmie przepadł, jak wszystkie wnioski i poprawki grup narodowych, ale on, i tylko on, znalazłby realizację w życiu.

Odrabianie błędów, trudniejsze niż ich uniknięcie, zwijanie instytucyj niewłaściwych, choćby poprawa źle urządzonych jest cięższa i baleśniejsza niż samo zaniechanie początku. Nie sądzę więc, by jakikolwiek rząd, bez względu na swój kierunek ideowy, o ile ma na oku dobro narodu polskiego i państwa polskiego, odważyłby się na próbę realizacji projektu zaniechania szkolnictwa średniego zawodowego na rzecz ogólnokształcącego. Próbę taką oczywiście przekreśliłoby samo życie prędzej czy później, niemniej narazilłaby ona na nowe, niepotrzebne wstrząsy naszą szkołę, a przez nią i państwo.

Hilary Majkowski, Poznań

Drzeworytnik biedy i nędzy góralskiej

Tadeusz Kulisiewicz należy do młodej, ale już nie najmłodszej generacji grafików polskich. Studja swoje odbywał pod kierunkiem profesora Władyst. Skoczylasa „w Warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych“, którego wielkie zasługi na polu grafiki, a zwłaszcza drzeworytu są powszechnie znane.

Kulisiewicz dał się dotychczas poznać jako wybitny drzeworytnik — pracami swojemi reprezentowany był poza granicami Państwa Polskiego wszędzie tam, gdzie urządzane były wystawy najwybitniejszych współczesnych grafików i drzeworytników polskich.

Omawiając twórczość tego artysty oddzielne studjum poświęciéby należało technice, formie i takturze jego prac, bardzo różnorodnej, zmienającej się i ulegającej ciągłej ewolucji. Oddzielne studjum poświęcić by też należało treści uczuciowej jego drzeworytów. Jednak nie bez wzajemnej łączności są oba wymienione momenty w twórczości Kulisiewicza.



Tadeusz Kulisiewicz — Chora Krowa
(drzeworyt 1926 r).

Póki Kulisiwicz jako uczeń Skoczylasa pozostawał pod jego kierunkiem, rzecz zrozumiała, że tematy jego prac były te same, jakie podawane, bywały uczniom zajętym w pracowni świetnego profesora i pedagoga. Przełom nastąpił w roku 1926, kiedy młody podówczas artysta po raz pierwszy podczas wakacji letnich zetknął się z życiem ustronnej wsi górskiej Szlembark na Podhalu.

Wieś górska nie łatwo daje się poznać przybyszom z miasta, niełatwo odkrywa najtajniejsze nuty radości i smutku. Wieś i miasto mają różną skalę zainteresowań. Wzruszenia radosne i wzniosłe, smutki i troski inaczej są doznawane przez ludzi gór, inaczej się tam te wzruszenia przejawiają niż u ludzi miasta i żyznych nizin.

Jeżeli prace pochodzące z pierwszego okresu twórczości Kulisiewicza zestawimy z pracami późniejszemi trudno nam oprzeć się uwadze, że w jego pracach wcześniejszych, górale dali mu temat do stworzenia szeregu pysznych portretów, wykonanych z dużem wyczuciem techniki drzeworytniczej i mi-



Tadeusz Kulisiewicz — Góralki z jagniątkiem
(drzeworyt z cyklu „Szlembark“)

strzowskiem prowadzeniem dłutka.

Pierwsze z cyklów Szlembarskich prace Kulisiewicza mają jeszcze posmak niezwykłych tematów. Technicznie prace te są rozwiązywaniem problemów czarno-białego drzeworytu, którego elementami są płaszczyzny czarne i białe i w którem nawet czarne lub białe kreski posiadają wartość płaszczyzn.

Kulisiewicz wiele czasu spędzał w swej górskiej wiosce. Wielokrotnie latem i zimą powracał do ludzi, z którymi nawiązał serdeczny kontrakt, do których często listy pisywał i od których otrzymywał listy pełne szczerych wynurzeń, proste, jędrne i niemal plastycznie wymowne. Duchowe współżycie z ludźmi Szlembarku wielokrotnie zapładniało twórczą jego inwencję.

Pośrednio i jakby wtórnie przeżywane wzruszenia zamknięte w prostokącie czarno-białego drzeworytu, złożyły się na kilka cyklów Szlembarskich. Pierwszy z nich to „Szlembark“, tematycznie jeszcze nieco niejednolity, obejmuje szereg portretów i krajobrazy, drugim cyklem jest „Bacówka“. Cykl tych drzeworytów jest jakby powieścią o życiu, trudzie i znoju górskich pasterzy owiec. Trzeci cykl „Metody“ jest tragedją najgłębszej doznawanej przez człowieka nędzy.

Smutne czy radosne prace Kulisiewicza pozostają w pamięci tak jak dobre utwory literatury, bez względu na ich treść.

Przegląd literacki i kulturalny

NAŁKOWSKA i ZAPOLSKA W LITERATURZE OBCEJ.

Zainteresowanie zagranicy polską literaturą zatacza coraz szersze kręgi, czego dowodem wydanie powieści Nałkowskiej „Choucas“ nakładem „Société Française d' Edition Littéraire“.

Do literatury czeskiej przeszła natomiast „Moralność Pani Dulskiej“ Zapolskiej w tłumaczeniu b. konsula czeskiego p. Doleżala.

ODCZYT O POLSCE.

„Towarzystwo Geografji Handlowej i Studjów Ekonomicznych“ w Paryżu zorganizowało odczyt o literaturze polskiej. Zagajenie wygłosił znakomity uczony polski wykładający literaturę francuską w Sorbonie prof. Strowski. Odczyt p. t. „Polska literacka i artystyczna“ wygłosił Paul Cazin. Udział jego w powyższej imprezie zapewnił liczną frekwenją publiczności i to w dużej mierze francuskiej. Sam odczyt ujęty był w ciekawy sposób. Mianowicie Cazin przedstawił życie literackie i artystyczne Polski w poszczególnych okręgach regjonalnych jak: Pomorze, Śląsk, Poznańskie, Łódzkie.

NOWI „NIEŚMIERTELNI“ WE FRANCJI.

Dnia 3 lipca odbyło się obranie nowych członków do Akademji Francuskiej. Opróżniony fotel po Bourget objął Edmond Jaloux. Następcą Bainville'a został Joseph de Pesquidoux, piewca cnót wieśniaczych i gorącego przywiązania do ziemi przodków.

Odpowiedzi Redakcji

Kol. A. Moskal-Kraków. Dziękujemy za serdeczny list. O „Przeprowadzce“ wkrótce w liście. Przykra niewątpliwa notatka ukazała się przez nieporozumienie. Niestety autorem jej jest kol. A. Rogalski.

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97. Konto P. K. O. 201 410. Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97.
PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką): miesięcznie 0,70 zł, kwartalnie 2,— zł, półrocznie 4,— zł, rocznie 8,— zł.
CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, ½ strony — 130 zł, ⅓ strony — 90 zł, ¼ strony — 70 zł, ⅛ strony — 40, zł, 1/10 strony — 30 zł.
Przedstawiciel redakcji w Łodzi — Konstanty Dobrzyński (Piotrkowska 91), we Lwowie — Aleksander Kośmiński (św. Zofji 50), w Krakowie — Jan Bielatowicz (Uniw., Coll. Novum). w Wilnie — Stefan Łochtin.
Rękopisów nie zwraca się.
Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski. Red. odpowiedzialny: Władysław Maciąg, Poznań.
Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Spółka z o. o. Poznań, ulica Strzałowa 2 a.

Rękopisów nie zwraca się.